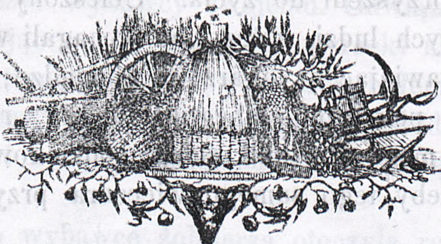
Tom XX. Nr. 17.

11. Czerwca 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wdzięczny żołnierz.

Było to wieczorem prawie przed świętami Bożego Narodzenia 1840 roku. Jechał ksiądz Trawik, dziekan obrządku grecko katolickiego, ze swojej podróży do domu, a mróz był niezmiernie wielki, jednakże nie wiele dokuczył on księdzu dziekanowi, bo miał na sobie płaszcz dobrze podbity mołdawskiem futrem. Gdy się zbliżał do Roguszny, co leży o dwie mile od pięknego miasta Czerniowiec we wschodniej części Galicyi — obaczył na śniegu coś czarnego. Przygląda się lepiej i poznaje, że to jest jakiś żołnierz, który od wielkiego zimna przewrócił się na ziemię i leży prawie już bez ducha.

Skoczył czemprędzej z wozu, wziął przy pomocy parobka ciało nieszczęśliwego żołnierza na sanie, kazał podciąć konie i wieźć do najbliższego domu. Po półgodzinnej drodze stanęły huculskie koniki przed karczmą, która tuż była przy drodze. Dobroczynny kapłan kazał natychmiast wnieść do izby zmarzłego żołnierza, który już ani śladu życia nie okazywał, i wszelkich użył sposobów, aby go koniecznie przyprowadzić do przytomności. Tarto go bez ustanku śniegiem, i czyniono wszystko co tylko

kto poradził, i po nie długim czasie usiłowania pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały, albowiem żołnierz począł się ruszać i powoli przyszedł do życia. Ucieszony ksiądz dziekan wynagrodził dobrych ludzi, którzy mu pomagali w dziele miłości bliźniego, a zostawiając szynkarzowi pieniądze, ażeby za nie posilnym rosołem pokrzepił słabego żołnierza, ruszył spiesznie w dalszą drogę, może dla uniknienia podziękowania a więcej może dla tego, żeby tego samego wieczora przybyć do swojej chorej małżonki.

Gdy się żołnierz posilił dobrą wieczerzą, chciał natychmiast puścić się w drogę. Odradzali mu ludzie, żeby tego nie czynił, bo na dwudziesto stopniowym mrozie może go spotkać jeszcze raz podobna przygoda, jednakże w żaden sposób nie można go było nakłonić do zostania na noclegu w karczmie. Był on bowiem z załogi czerniowieckiej a niósł ze sobą pilne listy i ważne rozporządzenia. Spytał się tylko w której wiosce mieszka wybawca jego życia, zabrał rzeczy i śmiało ruszył w drogę. Dążył więc prosto do tej wioski, aby zacnemu mężowi osobiście złożyć swoje podziękowanie. Gdy przybył do onej wioski, serce zapukało mu w piersi, bo w mieszkaniu księdza dziekana obaczył jeszcze światło Ale im więcej zbliżał się do plebanii, tem wyraźniej słyszał męzkie głosy. Nagle powstał krzyk okropny. Zbliża się do drzwi, chce je otworzyć, ale były zamknięte. Biegnie więc pod okno, by widzieć co się dzieje w pokoju. Zdziwienie ogarnęło go wielkie. Ksiądz dziekan leżał na ziemi skrępowany tak, że ani nogą ani ręką nie mógł ruszyć. Czterech w pałki uzbrojonych ludzi stało przy nim. Okropnym głosem wrzeszczeli o wskazanie im pieniędzy. Aby tem prędzej wymódz słowo na strwożonej ofiarze, chcieli w tym celu rozpalonych użyć węgli, by jej wsypać na piersi.

Żołnierz przekonał się teraz, że to zbójcy. Naciągnął tedy kurek od swojego karabina, wymierzył oknem i od razu położył trupem jednego zbójcę. Wyjął potem bagnet i tylnemi drzwiami, które na szczęście były otwarte, wpadł do pokoju i nadludzką ożywiony siłą, pierwszego, co biegł przeciw niemu, pchnął w piersi, następnie ranił ciężko drugiego, aż się powalił na ziemię, co widząc ostatni umknął oknem.

Żołnierzowi z radości zatętniło serce, że został zwycięzcą czterech zbójców, a więcej z tego powodu, że się tak godnie mógł odwdzięczyć wybawcy swojemu. Odwiązał mu ręce i nogi a on przyciskając go do piersi, te wyrzekł słowa: — Dziwne zrządzenie Opatrzności! Przed wieczorem byłem twoim wybawcą, tyś teraz wybawił całą rodzinę moją! Widać w tem palec Boży — dzięki więc wszechmocnemu, dzięki najdobrotliwszemu Bogu!

Niebawem wybawcę żołnierza otoczyła rodzina, wszystkim stanęły łzy w oczach, a ku niebu najgorętsza wybiegła modlitwa.

Józef z Bochni.

Pierwszy deszcz wiosenny.

Deszczu wiosenny! rosą, manną z nieba,
Padaj — ach padaj — przepowiednią chleba —
Zrywam się ze snu na odgłos rzęsistych
I dźwięcznych kropel — i już serce nuci
Wdzięczność ku Bogu — a potok łez czystych,
Łez uniesienia z oczu mi się rzuci!
Widziałam sama niedawno ze strachem,
Trawę bez barwy na łąkach bez rosy,
Głodne bydełko ryczące pod dachem,
Ruń wprawdzie świeżą — lecz czy będą kłosy?
Kwiat co wystrzeli — to znów w ziemi znika:
I gaje stoją bez pieśni i cienia,
Ni tam kukułki — ani tam słowika,
Ni nawet żabek dla przerwy milczenia.
Bóg się zlitował — już nam leje deszcze,
Padaj, ach padaj! i jeszcze — i jeszcze!
Padaj na łąki — na pola — na lasy,
Krop biedną ziemię za jej głodne czasy!..
Parzcie! jak hojnie bez różnicy pada
Nawet na miasto gdzie go mniej potrzeba,
Może to z góry przestroga i rada
By równie czynić doczekawszy chleba. —
Byle nam jego na cały rok stało,
Dla kmiotków naszych — dla naszej czeladzi,
By trochę ziarna na zasiew zostało,
Zbiorów nie trzeba — i Bóg sam nie radzi,
I w owej mannie na puszczy — ostrzega
Że to co schowasz — zepsuciu podlega...
Deszcz — to rozmowa jest ziemi i nieba,
Bóg wszystkich jedną obdarza szczodrotą;
Biedny w tych kroplach — liczy kromki chleba,
O! nie zmieniajmy tych kropel na złoto!

Przywiodę ślepe na drogę, której nie widzą i ścieżkami których nie znali uczynię, że chodzić będą.

Izajasz R. 42 w. 16.

Przed niezbyt wielu latami, przebywałem*) czas niejaki w małej wiosce nad Delawarą w wyższej części Hrabstwa Nowy-Jersey; gdy jednego dnia o wschodzie słońca wyjrzałem z okna mojego pokoju, i postrzegłem zadziwiony, w niewielkiej odemnie odległości, jakiś ruch niezwykły: liczne gromady mężczyzn, kobiet i dzieci, widocznie okazywały szczególne jakieś zaniepokojenie umysłów, i żywe ważną sprawą zajęcie. Zeszedłem na dół i dowiedziałem się, że mała pięcioletnia dziewczynka, córka ubogiej wdowy o godzinę drogi, od miejsca mego pobytu przebywająca, od czwartej godziny popołudniowej dnia poprzedniego, gdzieś zaginęła. Domniewywano się, że najpodobniej poszła do lasu, w bliskości którego jej matka mieszkała i tam zabłąkała się zapewne. Niepocieszona kobieta z kilku najbliższemi sąsiadami, tego samego jeszcze wieczora, dopóki tylko widzieć można było, szukała zbłąkanej dzieciny; z zapadającym zaś zmrokiem, przybył do wsi posłaniec z prośbą, o udanie się równo ze dniem z pomocą do lasu, dla wyśledzenia biednego dziecięcia, do czego większa część ludności okazywała gotowość. I ja natychmiast postanowiłem być uczestnikiem ich wyprawy; a w pół godziny prawie, byliśmy już na drodze do lasu, gdzieśmy do stu osób obojej płci zgromadzonych zastali.

Według ogólnego porozumienia, podzieliliśmy się na małe oddziały, i każden z nich z osobna pewną część lasu do przeszukania miał sobie wyznaczoną, a wszyscy mieli się zejść na nieodległym, a wiadomym sobie pagórku; na przypadek zaś znalezienia dziecięcia przed zbliżeniem się do oznaczonego miejsca, miano wystrzałem zwiastować pomyślny dla wszystkich wypadek.

Przy rozchodzeniu się po lesie oddziałów, ujrzałem kobietę zrozpaczoną, pędem przez pole ku nam biegnącą; zatrzymaliśmy

*) Opowiadający niniejsze zdarzenie, jest sam jego uczestnikiem, późniejszy wódz [na]czelny siły zbrojnej w Stanach Zjednoczonych Amerykańskich, a obecnie (1869) pre[zyden]t w temże państwie.

na
zyden

się aż do jej do nas przybycia; nigdy w mém życiu nie widziałem tak głęboko wyrytej boleści, jaka się na jej bladej twarzy okazywała. Była to około 30 lat mająca, przystojna kobieta, ale nadmiar cierpienia, przestrach, żal, rozpacz o wiele jej wieku przyczyniały — to matka zabłąkanego dziecięcia: czerwone od łez oczy, dziko na wszystkie zwracały się strony, usta zsiniałe, włosy na głowie w nieładzie rozrzucone, suknia podarta, jasnym były dowodem pilnego jej w każdym krzaku i ciernisku szukania. Z złożonemi rękami, a serce rozdzierającym głosem błagała nas o wyśledzenie jej dziecięcia. Upewniałem ją, że się to stanie niezawodnie, jeżeli nasze usiłowania będą w ludzkiej mocy.

— O wynajdźcie mi panie, moje dziecię, bo ja oszaleję.

— Bez wątpienia znajdziemy je jeszcze przed upływem dnia, odrzekłem, ale trzeba wam być spokojną, bo te gwałtowne wasze wzruszenia, nic wam nie sprawią dobrego.

— Spokojną! zawołała z dzikiem spojrzeniem, kto to każe mi być spokojną, kiedy moja biedna Ada błąka się po manowcach i z głodu umiera? O ja sama będę jej szukać, choćby mi i zginąć przyszło.

To mówiąc biegła w najbliższe zarośle, niezważając na ciernie rozdzierające jej odzież i ciało. Wraz z dwoma towarzyszami poskoczyliśmy za obłąkaną prawie, i zaledwie się nam udało, pochwycić ją, kiedy jak zwierz dziki rzuciła się w gęstwinę. Z wielkiem wysileniem pochwyciłem ją przecie, i stanowczym rzekłem do niej głosem: Na tak nierozważne wasze postępowanie, nie możemy wcale zezwolić, i jeźli pragniecie odzyskać swe dziecię, to trzeba się wam zachować spokojnie i zostać pod opieką obecnych tu kobiet. Z razu nie zważała na nasze napomnienia, ale z uniesieniem powiedziała nam, że jako matka wie dobrze, co czynić powinna; lecz gdy jej z rąk nie wypuszczamy, za przyjściem cokolwiek do przytomności, upewniała nas o wypełnieniu wszelkich naszych poleceń, byle tylko odzyskała ukochane swe dziecię.

Teraz już bez żadnej odwłoki wzięliśmy się do dzieła: każdy oddział w jednej linii o 10 do 15 kroków od siebie oddalony, posuwał się w głąb lasu. Zbyt gęste w niektórych

miejscach krzaczyska wstrzymywały nas w pochodzie; a chociaż sami sobą nie mało czyniliśmy wrzawy, i przynajmniej co minuta wołaliśmy „Ada!“ to przecież nie byliśmy pewni, czy dziecię wylęknione, nieprzytomne, odezwie się na głos sobie nieznany; tak więc najmniejszej nigdzie zarośli nie można było bez przeszukania pominąć. Gdzie zaś las był otwartszy, tam spieszniej postępowaliśmy w naszej wyprawie, aż nareszcie przy ostatniem zapadaniu promieni słonecznych, zbliżyliśmy się do umówionego pagórka, gdzieśmy już zastali jednych, gdy drudzy niebawnie nadchodzili. To zejście się jednak nasze, nie było pocieszające, bo nikt najmniejszego śladu dziecięcia nie dostrzegł. Okropne położenie matki i jej dziewczęcia, powszechną obudzało litość, a tak szczerym i silnym był udział niektórych mieszkańców, że jeden z nich obiecywał dać 100 dolarów *) nagrody za dostawienie żywego dziecięcia, po czem dziewięciu innych z tą samą oświadczało się gotowością, przezco dla szczęśliwego znalazcy zebrała się summa 1000 dolarów wynosząca. Słusznie można się było teraz spodziewać wielkiej gorliwości w poszukiwaniu, między obojętnymi nawet. I w rzeczy samej wiadomość o wyznaczonej nagrodzie rozbiegła się z nadzwyczajną szybkością i sprawiła skutek uroczy. Wielu umordowanych przed chwilą, pospieszyło do domu po latarnie, dla ułatwienia sobie poszukiwań, w ciągu całej nocy, a powab znacznej sumy pieniędzy zwabił i tych, którzy dnia jednego miłosierdziu poświęcić nie chcieli.

Ja sam uznojony a pragnący wzmocnienia sił na dzień jutrzejszy, wróciłem do domu, i wcześnie udałem się na spoczynek. Pomimo wielkiego utrudzenia, długi czas zasnąć nie mogłem; niespokojnie rzucałem się z boku na bok na łożu, smutny obraz dziecięcia i nieszczęśliwej matki ciągle mi stał na myśli, i niczem go z pamięci usunąć niepodobna było. Wreszcie znużony wpadłem z wolna w ten stan, w którym wszystko miesza się w naszym umyśle, wiemy że marzymy, rozbudzić się jednak nie życzymy sobie.

W takiem to rozmarzeniu nareszcie zdaje mi się, że z temi samemi co i wczoraj osobami, jestem znowu na dalszej w lesie

*) Dolar ma 2 złr. 15 centów.

wyprawie; w tem obok siebie postrzegam nieznanego mi zupełnie człowieka o bladej, poważnej twarzy, a ubiorze kapłańskim, ten ciemne, pełne wyrazu oczy na mnie zwracając, miłym, łagodnym głosem a ujmującym uśmiechem, rzecze: Widać, że zbłąkane dziecię niespokojnością i obawą waszą duszę napełnia, ale za to zaszczyt sercu przynosi; ja tu przybyłem wskazać wam miejsce pobytu dzieciny.

— O jeżeli to wiecie mój panie, odparłem, powiedzcie łaskawie, nie ze względu na mnie, ale dla dobra biednego stworzenia i jego zrozpaczonej matki.

— Idźcie ze mną, dodał nieznajomy, i odprowadził mię od pilnie zajętej szukaniem drużyny.

Potem zdawało mi się, żeśmy przybyli do wspomnianego już kilkokrotnie pagórka, lecz zamiast wejść na niego nieznajomy zwrócił się na prawo, i przeprowadził mnie przez pewien rodzaj wyschłego bagniska, na łąkę jasnym przeciętą strumyczkiem, ten przekroczywszy przybyliśmy do innego, obok parowu i krzaków pagórka, na któren z łatwością wyszedłszy, ujrzeliśmy tam rzewnie płaczącą dziewczynkę...

W tej chwili raptem ze snu się porwałem; całe to jednak łudzące wydarzenie w tak żywym teraz przed memi oczami stawało obrazie, iż długi czas upłynął nim się przekonałem, że to był sen tylko, a ja rzeczywiście nie widziałem dziecięcia. Ale i wtedy wrażenie przez sen sprawione tak było silne, że nie traciłem nadziei, znalezienia nazajutrz za łaską Boską, zbłąkanego dziewczęcia.

Z pierwszym brzaskiem poranku powstałem czemprędzej, opowiedziałem mój sen rozbudzonej przezemnie rodzinie, a pełen ufności w dobroć litościwego Ojca Niebieskiego, udałem się w drogę. Wielka ilość mieszkańców wsi w tym samym czasie wychodziła na umówioną wyprawę, gdy drudzy unużeni z nocnej a daremnej wracali z lasu wycieczki Ja nikomu o mojej tajemnicy nie wspomniałem, bo zwodniczemi najczęściej okazują się senne widziadła; nieznacznie jednak oddaliłem się od moich towarzyszów, i pospieszyłem na miejsce, do którego mnie nieznajomy we śnie prowadził. Z wielką radością i niemałem zdziwieniem zobaczyłem rzeczywiście podeschłe bagno a po

jego przejściu, łąkę z maleńkim strumyczkiem. Serce biło mi gwałtownie. Mógłżem ja tu być z wyższego natchnienia? Mojemże to było przeznaczeniem ocalić życie drobnej istocie, i zrozpaczonej matce przynieść pociechę i uspokojenie? Gorące, serdeczne zanosiłem modły do Niebios Pana, żeby się łaskawie spełniły moje życzenia.

Pospieszając dalej, na wszystko to samo, co we śnie napotykałem; zbliżyłem się ku wzgórkowi i postrzegłem parów i krzaki, a więc byłem już przy końcu zamierzonej drogi. Czyliż mnie słuch nie zwodzi, nie jest że to płacz dziecięcia? W tęsknem oczekiwaniu gwałtownego doznałem wzruszenia. Wcisnąłem się między gęstwinę krzaków, i pobiegłem czemprędzej na wzgórek, a zaledwie na nim stanąłem, ujrzałem dziecię na ziemi siedzące; poskoczyłem do niego z okrzykiem radości.

Tak, w rzeczy samej, było to małe dziewczę ze złotemi włoskami, z opartą na rączkach główką, a rzewnie płaczące. Na mój głos podniosła swoją miluchną twarzyczkę z niebieskiemi oczami, i rzuciła na mnie tak przenikające wejrzenie, jakiego nigdy w życiu zapomniećbym niezdołał. W jednej chwili była już w mojem ręku; przycisnąłem ją do serca; ze łzami dziękowałem Bogu.

— Mamo! Mamo! zaprowadź mię do mojej mamy! słabym głosem szeptała biedna dziecina.

— Tak, mój luby aniołku, odrzekłem wzruszony, zaprowadzę cię do twojej mamy; niechaj Bóg zseła na ciebie wszelkie błogosławieństwo!

Otóż i koniec tego smutnego z razu, a teraz pełnego radości w końcu wydarzenia. Dwie godziny drogi niosłem osłabione dziewczę do domu. Posłaniec na drodze spotkany pospieszył czem prędzej do matki z pocieszającą wiadomością, nim do jej domu przybędę. Wybiegła naprzeciw nas uradowana, ale nim się zbliżyła do swego dziecięcia, padła zemdlona.

Tysiąc dolarów obiecane w nagrodę przyznano mi jednomyślnie.

Wziąłem je, i dałem w całości ubogiej, a teraz uszczęśliwionej swem dziecięciem wdowy, której błogosławieństwa szczęśliwszym mnie uczyniły, niż marny dźwięk złota.

Budownictwo ptaków.

I.

Niezmierna rozmaitość okazująca się w zakładaniu gniazd wszystkich prawie ptaków, każdego wprawia w zadziwienie; one bowiem do nieskończoności urozmaicają kształty, sposoby wykonania i materyały do budowy użyte; tak więc można w nich rozróżnić tyle odmiennych robotników, ile jest szczególnych rzemiosł w towarzystwie ludzkiem. I tak niektóre ptaki są cieślami, inne tkaczami, te znowu krawcami, tamte wznoszą budowle, a między niemi są szańcownicy, murarze i rzeczywiście górnicy itp. jednych im tylko niedostaje kowali.

Wprawdzie obok naszych olbrzymich pomników, jak kościół św. Piotra w Rzymie, lub piramid Faraonów egipskich, gniazdo ptaka jest tylko punktem w przestrzeni, lecz ta znikoma drobnych stworzeń praca, łatwo się wzniesie przed naszemi oczami, gdy ją porównamy z słabemi siłami robotnika do obszerności wykonanego dzieła; bo niektórzy z naszych budowników powietrznych, w stosunku swej wielkości, więcej znoszą ziemi w jednej porze roku, przy stawianiu dla siebie mieszkania, niżby jej nagromadził człowiek przez całe swoje życie!

Miłość macierzyńska u ptaków, w najwyższym objawia się stopniu. Jeżeli przepiórka lub kuropatwa składając swoje potomstwo w otwartem na ziemi miejscu, wystawia je na żarłoczność mięsożernych zwierząt, to znowu inne rodzaje, nieskończenie różnych do obrony swych dzieci używają ostrożności. Zimorodek np. wykopuje głębokie i kręte podziemia, dla ochrony swej drobnej rodziny. Sroka dla tem pewniejszego swych młodych ubezpieczenia, buduje prawdziwą cytadelę z stósownem podwalem, zkąd bardzo szczupłe ma do wchodu i wychodu miejsce. Jednakże zamiast użycia ciesiołki, lub ziemi do wzniesienia swojej budowli, wykonywa swą pracę za pomocą gałązek gęsto przeplatanych, a zakrywających gniazdo, i będących pewną obroną od orłów i sokołów, tych prawdziwych rozbójników powietrznych.

Pomiędzy rozlicznemi plemionami latawców powietrznych, jed n tylko rodzaj, pod każdym względem osobliwy, mający przymioty ptaka i ryby, stanowi wyjątek od prawa powszechnego, i dla swego potomstwa żadnego nie zakłada gniazda; takim jest bezlotek patagoński w Ameryce, przebywa on tylko między lodami, skałami i falami morskiemi, skrzydła zaś ma zupełnie do lotu niezdatne. Miłość jednak macierzyńska tych ptaków ku swemu płodowi, znagla nas do uwzględnienia ich ociężałości i głupoty.

Samica bezlotek, jak niektóre zwierzęta w Australii, swe młode w worku podbrzusznym ukrywające, bezustannie nosi swe jajo jedyne, jak gdyby w kieszeni, powstałej z fałdu skóry na brzuchu, a tak ściągającej się, że ani skakaniem, ani staczaniem się ze skał, nie uszkadza go wcale I dobrze robi, bo w przypadku jakiej nieszczęśliwej przygody, samiec skarałby nielitościwie swoją towarzyszkę. To jajo tak skrzętnie sama matka ukrywa, że dla zdobycia go, potrzeba z nią uporczywą staczać walkę; na jej zaś krzyki przybiega samiec i rzuca się z taką na chciwego łupieżcę zaciętością, że nie ustąpi, dopóki nie polegnie pod jego razami.

II.

Olbrzymy i karły.

Natura stawia nam wszędzie do ostateczności posunięte przeciwieństwa I ptaki mają także pomiędzy sobą karłów i olbrzymów, opieszałych i niestrudzonych pracowników; a ich obyczaje przedstawiają tuż obok siebie niedołężność i pojętność, życie odosobnione i towarzyskie.

Często w okolicach zwrotnikowych, gdzie słońce rzuca swoje najgorętsze promienie, można widzieć unoszące się po kwiatach jaśniejące maleńkie ptaszęta, które w locie migają iskrami światła topazu albo rubinu; to są kolibry, prawdziwe diamenty żywotne, a wątlejsze od niektórych owadów, i częstokroć stające się łupem pająków. Najmniejszy tych ptasząt gatunek mało co większy od szerszenia.

Gdybyśmy porównali wzrost ptaków pomiędzy niemi, przyszlibyśmy do liczb ogromnych. Pewien uczony badacz francuski,

bez ścisłości zapewne dokładnej wyrachował, że potrzeba było tysiąc milionów myszy polnych, dla wyrównania ciężarowi wieloryba. Jeżliby to było prawdą, to takąż liczbę kolibrów należałoby na wadze położyć, dla zrównoważenia olbrzymiego strusia; ale ten ptak słabą jest tylko istotą w porównaniu z olbrzymami, o których niedawno dwaj znakomici badacze natury donosili, lubo wprawdzie jako o zaginionych prawie. Jeden z tych ptaków Dinornis w Nowej Zelandyi wynosił około 17 stóp wysokości; kość goleniowa u mężczyzny cienkiem jest wrzecionkiem w porównaniu z taką samą kością tego ogromu skrzydlatego. Drugi Epiornis na wyspie Madagaskar w Afryce miał być jeszcze wyższy wzrostem od poprzedniego; jajo tego ptaka jest 6 razy większej objętości od jaja strusia, skorupa zaś jego gruba, młotem tylko rozbićby się dała. Jakże potężny musiałby być dziób pisklęcia, żeby się z niej wydobyć zdołał! Tego ptaka jajo jest w gabinecie Paryzkim.

A jaka rozmaitość sił w tych powietrznych mieszkańcach! Gdy koliber wyciąga sok z kwiatu bez nadwerężenia prawie onego, to przeciwnie żórawiosęp wężojad ciągle się połowem płazów zajmuje, a jednem uderzeniem skrzydła ogłusza żółwia albo węża groźnego. Orłosęp na strzelca napada niekiedy, w niebezpiecznych przez Alpy wyprawach; a orzeł w śmiałym locie i dzieci czasem porywa, i unosząc je w rozległe powietrza przestrzenie, gruchocze je w przepaściach gór i pożera

W roku 1838 zdarzył się w Valais (Wale) we Francyi podobny przypadek. Dziewczynka pięcioletnia bawiła się ze swoją towarzyszką na trawniku górnym, gdy nagle spuścił się orzeł i uniósł ją w pośród krzyku jej przyjaciółki. Wieśniacy spiesznie na ratunek przybiegli, ale daremnie Szukali dziewczęcia, ale znaleźli tylko jej trzewiczek nad przepaścią; w gnieździe zaś orła śladu jej nawet nie było, tylko dwoje piskląt i kości z kóz i owiec. We dwa dopiero miesiące odkrył pasterz na skale zwłoki dziecięcia, okropnie uszkodzonego, o pół mili od miejsca z którego było uniesione

Wielu utrzymuje że orłosęp, najśmielszy z sępów i najsilniejszy w locie, rzuca się nawet na śpiących ludzi

III.

Praca i rodzina, opieszałość i niewdzięczność.

Cały rodzaj mysikrólików i sikor, jakkolwiek dobrego wzrostu, zadziwia przemyślnem wykończeniem prac swoich, i miłością ku swej rodzinie; zaiste, są one zachwycającym dla nas widokiem .

Pomiędzy miłemi naszych gajów gośćmi, godna wspomnienia sikora, budująca sobie gniazdo jak podziemne legowisko, a potem sikora ogoniasta zadziwia nas zakładaniem swojego gniazdeczka, które z mchu nie większe od pięści, w kształcie kulistym uściela. Samica wchodzi weń bardzo wąziuchnym otworem, i karmi od 10 do 12 piskląt; pomieszczenie się w tak małej komnatce, jest prawdziwie nie do pojęcia. Wytwornością budowy jeszcze bardziej wprawia nas w zadziwienie sikora wąsatka, która „w najgęstszych zaroślach trzciny robi sobie sztuczne, jajowo-podługowate, workowate gniazdo, wierzchem przytwierdzone do krzyżujących się badylów trzciny, z boków zaś i spodem zostawia je zupełnie wolne, kołyszące się, z dwoma okrągłemi otworami;“ te zaś jak najstaranniej są wykonane, żadne włókienko nie wystaje nad drugie.

Chata u wielu dzikich ludów zawsze stoi otworem, nieupadły one jeszcze na pomysł sporządzenia sobie opiekuńczych drzwi. Pająki daleko sprytniejsze, niektóre z ich rodzajów umieją się zamykać w swojem podziemiu, za pomocą drzwi zręcznie wykonanych, i pomiędzy ptakami są takie, co używają przy swoich gniazdach podobnej ostrożności

Pewien podróżny do Indyi Wschodnich, wspomina o szczególnym rodzaju sikory zasługującej na uwagę z przyczyny gniazda z bawełny w kształcie butelki utkanego. Gdy samica wewnątrz siedzi na jajach, samiec tym czasem, jako czujny strażnik, zostaje po za gniazdem w osobnej torebce umieszczonej z boku wydłużonego gniazda; a kiedy za oddaleniem się swej towarzyszki i on sam chce z nią odlecieć, wtedy uderza gwałtownie skrzydłami w otwór do gniazda, i zatyka je tym sposobem dla obrony potomstwa przed nieprzyjacielem.

Przemyślnie i sztucznie wykonana na gniazdo budowa, miłość rodzinna i zamiłowanie w pracy, najszczególniej okazuje się w dziele wikłacza towarzyskiego. Ta mała na przylądku Dobrej Nadziei w Afryce ptaszyna, mało różniąca się wielkością i postacią od naszego wróbla, żyje w licznem towarzystwie jednoczącem się dla zakładania rozległego grodu, w kształcie

ogromnego parasola, który otacza w około pień wielkiego z konarami drzewa. W tem zabudowaniu mieści się przeszło 300 komórek, a zatem więcej niż 600 ptaków razem zamieszkałych.

Wspomnieliśmy już, że w pokoleniu skrzydlatem, wszelkiego powołania dają się widzieć pracownicy. Niktby się nie spodziewał napotkać między niemi prawdziwe szwaczki, bo przecież dziób ptasi niezdolny do pracy igłą wykonywanej; a jednakże niektóre z nich rodzaje rzeczywiście zręcznie szyć umieją. Nie mówimy tu o tych ptakach których gniazda z traw cienkich znane powszechnie, przedstawiają siatkę nierozwikłaną, ale o gajówce krawczyku, która bierze dwa wielkie podłużne, włóczniowate listki z drzewa, zszywa dokładnie ich brzegi w obszywkę, używając zamiast nici zdziebełka giętkiego trawy; poczem samica napełnia ten rodzaj worka bawełną, a na tem miękiem posłaniu, składa jaja do wylężenia. To gniazdo jest prawdziwem arcydziełem pojęcia zwierzęcego.

Wilga w naszym klimacie buduje także bardzo sztuczne gniazdo, między widełkami gałęzi poziomo leżącemi, zawieszone, w kształcie woreczka z dwoma uszkami, któremi są silnie około gałęzi okręcone; są zaś te gniazda uplecione z włókien, przędzy, trawy, wełny itp. tak mocno, iż i gwałtowny wiatr w niczem ich nie uszkodzi. Zawieszone u gałęzi wraz z nią kołyszą się bezpiecznie. Wnętrze gniazda wysłane puchem, drobnym zdziebłem trawy, mchem itp.

A teraz naprzeciw tej wytrwałej pracy i ciągłej działalności latawców powietrznych, postawmy instynktową niejako gnuśność i okrucieństwo kukułki. Ten dziki mieszkaniec naszych lasów, nie zakłada gniazda, nie wysiada młodych i nie karmi swych piskląt. Podstępem przelewa ten obowiązek na inne ptaki, i to zwykle na najmniejszej postaci rodzaje, uwalniając się sama od wszelkiego starania o swoje potomstwo.

Teraz nastręcza się ciekawe do rozwiązania pytanie: kiedy gniazdka miluchnych gości naszych gajów są tak szczupłe, że ptak rozmiarów kukułki w nichby się nie zmieścił, dla zniesienia tam swojego jaja, jakimże więc sposobem złożyła je samica kukułka w maleńkiem drobnych ptasząt gniazdeczku? Uczony badacz francuzki rozwiązuje nam tę trudność; widział bowiem naocznie samicę znoszącą jajo na trawie, które potem brała w dziób, umieszczała je w gardle, i nareszcie wkładała do wybranego przez siebie gniazdka ptasząt owadożernych. Wiekopomnej zaś pamięci Jener Anglik wynalazca szczepienia ospy, z własnych spostrzeżeń tak mówi: kukułka w kilka go-

dzin po swem wylęgnięciu, za pomocą tylnej części ciała i skrzydeł, wpycha się pod małego ptaszka, z którym podziela kolebkę, unosi go na swoim grzbiecie, i podniesieniem swych skrzydeł wstrzymuje. Poczem posuwa się w tył na brzeg gniazda, podnosi się na chwilę, a potem po niejakiem usiłowaniu, zrzuca swoje brzemię po za domek gościnny. Po dokonaniu tego czynu, zatrzymuje się kilka chwil, jakby dla zapewnienia się o pomyślnym skutku swego przedsięwzięcia. Rozbójnik ten straszliwą okazuje wytrwałość w wykonaniu swego dzieła wytępienia, pracuje on w tej mierze bez wytchnienia, i wszystkie pisklęta wyrzuca z gniazdka na ziemię.

Ztąd to kukułka powszechną wszystkich na siebie ściąga naganę, i zwykle uważaną jest zwłaszcza w Niemczech za godło niewdzięczności.

Miasto nadmorskie.

Hamburg przy ujściu rzeki Alster do Elby, o 18 mil od morza niemieckiego, a 10 mil od Baltyckiego położony, ze swoim obwodem blisko 7 mil kwadratowych wynoszącym, zbyt maleńki wydaje się na karcie geograficznej; ludność jego nawet dwakroć sto tysięcy przeszło wynosząca, nie wiele znaczy, ale położenie uczyniło to miasto jednem z najznaczniejszych stanowisk handlowych całego świata.

Już Karol Wielki cesarz rzymski w 9tym wieku żyjący, z korzystnego położenia wioski rybackiej, na której miejscu dzisiejszy Hamburg był założony, wielką przyszłość przepowiadając, gród tu i kościół wystawić kazał. W 13tym zaś wieku do takiej Hamburg doszedł już potęgi, że jako miasto hanzeatyckie wraz z Lubeką utrzymywał okręty wojenne i wojsko, dla bezpieczeństwa handlu w owe czasy nader potrzebne.

Za zbliżeniem się do miasta, daje się widzieć nieprzejrzany las masztów, bandery okrętowe wszelkiego koloru, i wszystkich prawie narodów, powiewają w powietrzu. Pomiędzy niemi za każdym wiatru podmuchem, wydymają się ogromnej wielkości żagle, a czarne kłęby dymu z wysokich kominów na okrętach parowych wzbijają się pod obłoki. Tuż na wybrzeżu wznoszą się olbrzymiej rozległości spichlerze, na składy towarów przeznaczone. Około murów otaczających brzegi, tłumnie tam i na powrót uwijają się ludzie wszelkiego koloru, składu ciała, w najrozmaitszym, a właściwym swej narodowości stroju. Tu

wozy ładowne z trudem postępują w górę ulicy nadbrzeżnej; wpośród nich pędzą dorożki, i konno jadący, krzyczą drążniki, majtkowie śpiewają, sprzedający drobne towary, wywołują je donośnym okrzykiem, a niczem niezajętych widzów wszystko to na każdem miejscu bawi i rozrywa. Co tylko jest pięknego i kosztownego gdziekolwiek na świecie, to wszystko jest tu wystawione w ogromnych pakach, beczkach, żelazem okutych skrzyniach, na blokach i w koszach. Towary sta tysięcy wartające, zdają się tu być na ulicy porzucone.

Nie tylko ludzie, ale wszelkiego rodziaju statki i okręty nad brzegami Elby, w ciągłym są ruchu i zgiełku. Jedni w zamiarze odbicia od lądu, i puszczenia się na środek strumienia odkładają silne łańcuchy; drudzy cisną się do brzegów, albo do kanałów wiodących do miasta; inni upatrują dogodne stanowiska dla siebie, albo zmierzają do urzędu celnego. Pomiędzy wielkich rozmiarów okrętami, przesuwają się różnobarwne lekkie czołenka rybackie w rozlicznych kierunkach; wtedyto nieobeznany z żeglugą mieszkaniec lądowy, rzuca na nie z brzegu swój wzrok niespokojny; trudno słabej łodzi zetknięcia się ze statkiem, lub wywrotu uniknąć, te jednak zręcznie kierowane, umieją się uchronić od grożącego im niebezpieczeństwa.

Całemi dniami możnaby stać na brzegu, przypatrując się pełnemu zajęcia ruchowi, i coraz to odmienniejszych doznawać wrażeń. Tam to zbliża się ciężki o trzech masztach okręt ze skarbami z Brazylii; tu pędzi wysmukły parowiec do przylądka Dobrej Nadziei, obok stojącego z powrotem statku z połowu wielorybów; tam znowu spoczął na kotwicy okazały Wschodnio-Indyjski żaglownik, a około amerykańskiego kupieckiego okrętu, w chyżym biegu przesuwa się pocztowy angielski parowiec. Ileż tu głosów słyszeć się daje, to ruchem lin, to trzepotaniem się żagli sprawionych; jaka mieszanina wszelkich języków, narodowości i strojów; dodajmy jeszcze głośne wydawanie komend kapitanów okrętowych, przeciągłe spiewy pracą zajętych przy windach czeladzi okrętowej itp. a przekonamy się, że coraz to nowsze przedstawiające się przedmioty, zajmą nas swoją rozmaitością, i najżywszą w nas wzniecą uwagę.

Do Hamburga zawija corocznie do 4.500 i więcej okrętów z których kilkaset na zaeuropejskie kraje przypada; przeszło 500 kupców zajmuje się handlem z całym światem mających stosunki; miliony w obieg wprowadza za pomocą towarów składających się z kawy, tytoniu, cukru, ryżu, indygo, pieprzu, bawełny, wina, skór, piór, korków, świec, także żelaznych,

miedzianych, bawełnianych i jedwabnych wyrobów, płócien, mydła, nici i t. p Corocznie wprowadzają tu przeszło za 150 milionów talarów, a za więcej niż 130 milionów wywożą za granicę. Ileż to rąk jest tu zajętych!

Przepływająca przez Hamburg rzeka Alster, dzieli go na dwie połowy, a prócz niej i liczne kanały przecinają to miasto. Płyną niemi statki przewozowe, aż do wielkich składów kupieckich, a 84 mosty na kanałach postawione, służą do użytku dla pieszych i wszelkiego rodzaju pociągów do przewozu towarów zwykle używanych.

W nowszym czasie w rozlicznym kierunku pozakładano podziemne odchodowe kanały, w które zwykle w chwilach przybytu morskiego, dwa razy dziennie woda słona wchodzi, a z odpływem zabiera wszelkie nieczystości z sobą, i prowadzi do Elby, a z nią do morza.

Na miejscu wielkiej zgorzałej części miasta w roku 1842, powstały teraz nowe ulice z najokazalszemi domami; mieszkają w nich majętni kupcy i senatorowie; tu także daje się widzieć wielka ilość najpiękniejszych sklepów z towarami, handel zaś cząstkowy w tych tu ulicach, nigdzie niema miejsca dla siebie.

Wcale odmienna jest postać starego miasta. Tu w ulicach są domy z wysokiemi szczytami, od poddasza aż do piwnic, na mieszkanie zajęte. Pieszo idący, wózki tragarzy, wozy i wszelkiego rodzaju zaprzęgi, w zgiełku i nieustannym gwarze wymijają się bezustannie. Skrzypienie kół, trzask biczów i wywoływania sprzedających drobniejsze towary, zbyt przykre są dla ucha. Długie, różnokolorowe, a liczne na wszystkich domach szyldy, przedstawiają morskie ryby, ostrygi, czapki, buty, stołki itp., za wysokiemi zaś oknami wystawione są południowe owoce, suknie, obrazy, zegarki, wyroby złotnicze i jubilerskie i t. p. Płody wszystkich krajów, są tu, jak na okaz wystawione.

Jeszcze większy jest zgiełk w ulicach, w których na dwukolnych wózkach trudniący się sprzedażą drobnych przedmiotów, nie czekają na przybycie kupującego, ale od rana do wieczora wywołują swoje towary. Po za temi wózkami, okazują się ciemne sklepy i przechody w kamienicach, gdzie tandeciarze starzyznę zakupują i sprzedają. Tu zużyte suknie czyszczą, przerabiają, i znowu stają się one do pozbycia gotowe. Nic nie ma tak zniszczonego, czegoby po przerobieniu nie dało się spieniężyć.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.